

# Demontaż żyrandola

19 sierpnia 2013

Niedawne ożywienie dyskusji na temat likwidacji irlandzkiego Senatu ze względów oszczędnościowych, ku czemu wyraźnie skłania się tamtejszy rząd, siłą rzeczy przypomina nam puste obietnice kolejnych gabinetów w naszym kraju. Polski Senat jest konstytucyjnym kuriozum na skalę europejską, którego jedyną na dobrą sprawę prerogatywą jest wnoszenie poprawek do ustaw sejmowych, które ten może i często odrzuca. Marny pretekst to utrzymywanie tak rozbudowanej i kosztownej instytucji.

O ile jednak społeczeństwo zdecydowanie popiera zniesienie Senatu, o tyle jest też instytucja o wiele bardziej kosztowna i równie mało pożyteczna, a której istnienia praktycznie nikt nie kwestionuje. Tak, chodzi o urząd Prezydenta RP.

Ideą stojącą za restauracją urzędu prezydenta, pomijając krótkoterminowy podział rządów w okresie transformacji, było posiadanie cieszącego się mandatem społecznym najwyższego arbitra i strażnika nie tylko litery konstytucji, ale zdrowego rozsądku, swoistej równowagi wobec upartyjnionych rządu i Sejmu. Słowem, osoby jednoczącej społeczeństwo.

Pomysł zacny, ale z realizacją jakby gorzej. Pomijając krótki okres urzędowania, jak już wspomnieliśmy w specyficznych warunkach, generała Jaruzelskiego, który mimo swego politycznego bagażu stał najbliżej modelu konstruktywnej prezydentury, wszyscy kolejni lokatorzy Belwederu i Pałacu Namiestnikowskiego byli przykrym rozczarowaniem. Lech Wałęsa toczył nieustanną wojnę ze wszystkimi, starając się wprowadzić system rządów prezydenckich (a pamiętajmy że „mała konstytucja” dawała głowie państwa znacznie szersze uprawnienia, niż obecna). Aleksander Kwaśniewski grał rolę dobrotliwego ojca narodu, choć praktyka przedstawiała się różnie. Zdarzało mu się respektować ograniczenia ustrojowe

urzędu, ale i tak spędził wiele czasu na grze czysto politycznej, umizgując się do prawicy i podkopując własne środowisko, co przychylnie media portretowały jako iście „prezydencką” niezawisłość, ale co z konstruktywną bezstronnością nie miało wiele wspólnego. Wreszcie, po upadku rządu Millera, w czym miał niemały udział, udało mu się zmontować własny rząd, kierując premierem z tylnego siedzenia przez ostatni rok kadencji.

O doświadczeniach prezydentury Lecha Kaczyńskiego nie ma nawet co wspominać, lecz warto poświęcić słowo poczynaniom obecnej głowy państwa. Bronisław Komorowski przedstawiał się jako prezydent wszystkich Polaków, rzecznik spokoju, który nie będzie w odróżnieniu od poprzednika chodził na pasku swojej partii i wykorzysta prestiż urzędu do inspirowania debaty publicznej. Jaką debatę publiczną, poza kontemplowaniem orła z czekolady, generuje jednak prezydent Komorowski? Nie wiadomo. Jedynym przypadkiem, gdy wykazał własną inicjatywę było zgolenie wąsów a i tu efekt okazał się dość mizerny. Jeżeli chodzi o rzeczywiste działania, potulnie zaklepuje najbardziej niesolidarnościowe projekty rządowe („prezydent wszystkich Polaków”), czego mieliśmy drastyczny przykład, gdy podpisał ustawę znoszącą ośmiogodzinny dzień pracy.

Trzeba przyznać, że bezużyteczność bądź szkodliwość prezydentów nie jest specyfiką III RP. Pomijając tragiczną postać Gabriela Narutowicza, zamordowanego u progu kadencji, równie mierne efekty produkowała Polska przedwojenna. Stanisław Wojciechowski miotał się bezradnie między kolejnymi gabinetami, aż został obalony w wyniku Zamachu Majowego. Ignacy Mościcki daleko przewyższał Lecha Kaczyńskiego w służalczości wobec „silniejszego partnera”, a gdy tego zabrakło, był jak marionetka pozbawiona ciągnącego za sznurki lalkarza. O kolejnych prezydentach na uchodźstwie, zajętych wojenkami między emigracyjnymi stronnictwami, litościwie nie wspomnę.

Czy utrzymywanie stanowiska, którego nikt najwyraźniej

sprawować nie potrafi, ma w ogóle jakiś sens? Stanowiska, dodajmy, pochłaniającego z roku na rok, z prezydenta na prezydenta, coraz większe sumy bez widocznego pożytku (czyniąc zniechęcony Senat tanim i produktywnym przez samo porównanie).

Z jednej strony tak. Ktoś przecież musi nadawać ordery, przyjmować listy uwierzytelniające, słowem wykonywać wszelkie funkcje ceremonialne, głowom państwa przypisane. Podobny model doskonale sprawdza się w wielu krajach, chociażby w Niemczech.

Niestety, nie sądzę, aby takie ograniczenia były u nas możliwe. Prezydent zawsze będzie podmiotem gry politycznej z uwagi na czysto polityczny prestiż, jakim cieszy się urząd. Poza tym ciężko sobie wyobrazić partie i rządy, niezależnie od reprezentowanej opcji, uznające Belweder za terytorium neutralne. Już sensowniejsze byłoby wprowadzenie monarchii konstytucyjnej, co zresztą też jest głupotą. A może rozwiązaniem byłoby zerwanie z na wpół bezsilną, na wpół wciąż wpływową instytucją i wprowadzenie systemu rządów prezydenckich bądź półprezydenckich? Niestety, taka koncentracja władzy wydaje się jeszcze gorszym wyjściem.

Chyba więc warto wykazać się nieco większą odwagą, sięgając po jeszcze inny, a wcale nie niespotykany, model? Przykładowo można znieść urząd prezydenta, przenosząc pewne prerogatywy (głównie te ceremonialne) na innego wysokiego urzędnika państwowego, np. marszałka Sejmu. Jednak istnieje pewne niebezpieczeństwo, że taki urzędnik zamieni się po prostu w prezydenta z dodatkowym oparciem w postaci już sprawowanej wysokiej funkcji.

Istnieją jeszcze dwa warianty. Co prawda sięganie po rozwiązania ustrojowe z okresu PRL-u byłoby w najlepszym wypadku wysoce kontrowersyjne (choć nie wszystkie były złe; niestety większość z tych dobrych funkcjonowała na papierze), lecz zastąpienie prezydenta ciałem kolegiałnym na modłę Rady Państwa wydaje się najsensowniejsze. Przewodniczący tegoż gremium wypełniałby z racji urzędu nieodzwonne funkcje

protokolarne, ale będąc jedynie „pierwszym wśród równych”, nie mógłby zamienić się w kolejnego kosztownego pół-monarchę. Do pozostałych funkcji, jak: występowanie z inicjatywą ustawodawczą, stosowanie prawa weta i łaski; ciało kolegialne (najlepiej z pewną reprezentacją partii opozycyjnych), nadaje się lepiej niż jedna oślepiąca blaskiem żyrandola osoba.

Drugim, najbardziej chyba interesującym, rozwiązaniem ustrojowym jest model szwajcarski, w którym funkcje kolegialnej głowy państwa pełni Rada Związkowa ze zmieniającym się co roku na zasadzie rotacji prezydentem konfederacji. Wariant o tyle ciekawszy, że reprezentująca szerokie spektrum polityczne Rada jest jednocześnie rządem, tyle że funkcjonującym na zasadzie partnerstwa, bez odpowiednika wszechwładnego premiera. Model szwajcarski nie tylko wyeliminowałby obecność kosztownego prezydenta, ale też utrudniłby przejęcie przysłówiowej całej puli przez przywódcę zwycięskiego ugrupowania. Chociaż osobiście najbliższej mi do tego wariantu, trzeba przyznać, że byłoby to jeszcze trudniejsze do zrealizowania, niż restauracja Rady Państwa. Nasza scena polityczna jest zbyt zabetonowana, aby marzyć o współodpowiedzialności, zaś każda z reprezentowanych z Sejmu partii bardziej przypomina polityczną maszynkę, pracującą na wyłączny rachunek lidera, niż rzeczywiste „ugrupowanie”.

Trudno się spodziewać, aby w najbliższej przyszłości ochraniający ze wszystkich stron niczym święta krowa urząd prezydenta znalazł się w takim ogniu krytyki, żeby zaczęto poważnie dyskutować o czymś więcej, niż ograniczaniu budżetu kancelarii czy wyrzuceniu do kosza kotylionów. Ale to wcale nie znaczy, że nie istnieją lepsze rozwiązania.

Autor: Krzysztof Pacyński

Źródło: [Lewica](#)